

Pierwsza krótka podróż sentymalna

25-26 sierpnia 2017 r.
Mazury i Białostoczczyzna

Wyprawa na północny Bałtyk w 2017 roku zakończyła wieloletnią serię naszych rejsów statkami wycieczkowymi po całym świecie. Odwiedziliśmy wszystkie kontynenty z wyjątkiem Afryki i Australii. Odbiliśmy więc już wszystkie interesujące nas i jednocześnie bezpieczne miejsca na świecie.

Pojawił się więc problem, co robić podczas wakacji. Pomysł był tak rewelacyjny, jak odkrywczy: **może po prostu poznać lepiej swój kraj?**

Nie będzie to łatwe, bo w latach 1955-95, a więc przez czterdzieści lat, to nasz kraj właśnie był stałym celem moich wycieczek, obozów, urlopów i podróży. Wydawało mi się, że znam w nim każdy skrawek.

A jednak nie. Po dokładnym prześledzeniu mapy okazało się, że w pewnych rejonach nie byłem. Dzięki *Google Street View* doszedłem ponadto do wniosku, że miejsca gdzie byłem kiedyś, bardzo się zmieniły, niekiedy niemal nie do poznania np. Karpacz, Pobrzeże Bałtyku czy choćby Wrocław. Na dodatek w garażu stoi 8-letni, prawie nie używany samochód, ponieważ w XXI wieku podróżuje się daleko, i głównie samolotem.

No to spróbujmy! Świetny pomysł – krótkie podróże sentymalne pod hasłem „przeżyjemy to jeszcze raz”! Okazało się szybko, że tak naprawdę to jest tylko trochę „jeszcze raz”, bo prawie wszystko jest zupełnie inaczej...

Popielno i Wierzba

W dawnym zespole dworskim Popielno, na samym końcu półwyspu między jeziorami Bełdany, Mikołaj-

skim i Śniardwy utworzono w 1955 roku Zakład Doświadczalny Hodowli Zwierząt PAN. Opodał, w odległości 2 km na zachód, nad brzegiem rynnowego jeziora Bełdany rozsiadła się niewielka mazurska wioska Wierzbą z przeprawą przez jezioro promem na linie, przeciąganym ręcznie przez jezioro (nawet dla pojazdów ciężarowych) oraz przystanią statków pasażerskich regularnie kursujących między Rucianem (teraz Rucianem-Nidą) a Mikołajkami. Popielno z Rucianem łączyła natomiast bezpośrednio leśna droga gruntowa, przez wieś Wejsuny.



Mapa południowej części Wielkich Jezior Mazurskich. Popielno leży bezpośrednio nad jeziorem Śniardwy

Dyrektorował tej placówce badawczej inż. rolnictwa SGGW Kazimierz Ubysz (1905-2000) delegowany tam przez macierzysty Instytut Hodowli Zwierząt PAN z Jastrzębca koło Warszawy, prywatnie przyjaciel moich rodziców. Mówiliśmy do niego Wujek.

W tych latach Mazury były jeszcze opustoszałe. Ludność miejscowa emigrowała za porozumieniem rządów na zachód, do Niemiec Zachodnich. Rząd nasz powoli zasiedlał te ziemie, ale był to bardzo powolny proces. W latach 50-tych ubiegłego stulecia było tam przeaźliwie pusto, jak w Bieszczadach. Stacja PAN w Popielnie to zaledwie mały, samotny punkt wśród lasów. Czaasy te wspominał niegdyś prof. Zbigniew Jaczewski, naukowiec pracujący w Popielnie od 1958 roku:

...Nie było wówczas w Popielnie wody biejącej ani prądu elektrycznego na stałe. Czasem rano i wieczorem funkcjonował często psujący się agregat. Tygodniami nie było prądu. Wodę czerpało się ze studni lub z jeziora, a prace pisaliśmy przy świeczkach lub lampach naftowych...

Łączność Popielna z macierzystym Zakładem PAN pod Warszawą zapewniał tylko telefon na korbkę i jeden samochód ciężarowy GAZ-51, na szczęście z plandeką. Ze względu na niebezpieczne w owym czasie mazurskie drogi, kierowca tego samochodu zawsze jeździł z osobistą bronią krótką.



Dla mnie i dla mojego brata Andrzeja była to Ziemia Obiecana. Rodzice opłacili mały pokój na piętrze oraz, na prawie dwa miesiące, stołówkę robotniczą. Pamiętam, że na kolację zawsze był świeży ciemny chleb, smalec ze skwarkami, ogórek kiszony i kawa zbożowa. Dla nas, warszawskich dzieci, było to wspaniałe jedzenie. Chodziliśmy do niedostępnego dla obcych lasu rezerwatowego na poziomki, jagody i maliny i jedliśmy je ze śmietanką zlewana z otrzymywanego codziennie litra mleka „od krowy”.

Z różnych odpadowych kawałków desek i belek zbudowaliśmy tratwę z piracką flagą na krótkim maszcie i pływaliśmy na niej po płytkich wodach jeziora Śniardwy do pierwszego pasma trzcin, łowiąc płocie i wzdręgi pływające stadami w kryształowo czystej wodzie.

Kiedyś spadły mi z tratwy i utonęły jedyne spodnie, które zdjąłem do kąpieli. Wracałem więc w końcu sierpnia do domu pociągami w małych, pożyczonych damskich szorto-majtkach.

Popielno i Wierzbą po 60-ciu latach

W Popielnie, w byłej Stacji Naukowej PAN jest teraz głównie wczasowisko, które nieco przygłuszyło funkcje naukowe. Pałacyku dyrekcji już nie ma. Co natomiast jest? Oto cytaty z Wikipedii: *W sezonie letnim w Popielnie funkcjonuje rozwinięta baza turystyczna i noclegowa, plaża, sklepy ogólnospożywcze, a także firmy czar-*

Popielno.
Samochód
GAZ-51.
Spichlerz z
połowy XVIII w.
Czworaki – tu
mieszkałem.
Zdjęcia
współczesne.
W ramce dyr.
Kazimierz Ubysz,
zdjęcie z 1998 r.
(fot. Sylwester
Górski)

Wierzbą z lotu
ptaka. Niewielki
czerwony dach
w dali przy
przystani
jachtowej to w
zasadzie jedyny
dom nie
należący do
kompleksu PAN

terowe. Port jachtowy w Popielnie zarządzany jest przez
pobliski Dom Pracy Twórczej PAN w Wierzbie.

Dom ten, a właściwie cały zespół inwestycyjny jest *de facto* molochem który załatał cały obszar Wierzb, z wyjątkiem małego skrawka przy samej przeprawie promowej. Jest też i mało wykorzystywany, bo jego standard zbliżony jest bardziej do minionej epoki niż obecnej, reprezentowanej tu przez pobliski Hotel Gołębiowski w Mikołajkach.



W tym
niewielkim
domu jest dość
prymitywny bar
widoczny na
zdjęciu
z prawej,
przydatny
oczekującym na
przeprawę

Tykocin, Białystok i Supraśl

Po żurku w Wierzbie i przeprawie promem przez jezioro Bełdany jedzie się do Mikołajek. Jediną drogą, polną(!), tą samą, z której korzystałem pieszo 60 lat wcześniej. Mikołajki natomiast są pokryte turystycznym tłumem, biedniejszym w porcie jachtowym i bogatszym w Hotelu Gołębiowski. Bez zatrzymania jedziemy więc środkiem, przez stare miasteczko na Orzysz. To kiedyś administracyjna stolica południowych Wielkich Jezior, dziś głównie garnizon wojskowy. Dalej mamy po drodze Bemowo Piskie, również ważny teren wojskowy, dawniej nieprzejezdny. Wojska nie widać, tylko ogrodzenia. W Szczuczynie wjeżdżamy na Podlasie, odwieczne polskie tereny, płaskie i podmokłe, ale bardzo zielone, łączące Mazowsze z Wileńszczyzną..



Był już koniec dnia i trzeba było się zregenerować. Jeszcze przed wyjazdem zarezerwowaliśmy pokój w zamku Tykocin. W zupełnie nowym zamku, wybudowanym według starych rycin przez prywatnego inwestora, miłośnika ziemi białostockiej.

Zamek Tykocin z widokiem na dolinę Narwi

Stary zamek w Tykocinie, znany na przykład z Sienkiewicza, nie ostał się, nie licząc resztek fundamentów. Nowy wybudowano z wyczuciem historycznym bez ukrytego celu zarobkowego. Cena noclegu ze śniadaniem przystępna.



Rano do Białegostoku. Miasta w którym nie byłem nigdy. Z braku innych atrakcji plan podróży przewidywał tylko przejście główną ulicą od dworca PKP do Pałacu Branickich. Niewiele, jak na główną ulicę Podlasia, ale czas gonił. Bowiem na północny wschód od Białegostoku jest szczególny kawałek Polski. Są tam inne narody, inne religie i zwyczaje. Folklor. Prawosławni, a także Tatarzy zaimportowani chyba jeszcze przez Kmicica. W Supraślu istnieje duży prawosławny zespół klasztorny i uniwersytecki tej wiary (100 ha) z wieloma budynkami.

Supraśl. Zespół
klasztorny.
Gospoda
„Prysmaki
Tatarskie”

W Supraślu żyje także wielu potomków polskich Tatarów, walczących swego czasu w wojskach I Rzeczypospolitej. Warto więc zobaczyć to kresowe miasteczko oraz zjeść prawdziwy tatarski obiad w niewielkiej gospodzie, gościnnie usytuowanej w skromnym budynku gminnego Centrum Kultury.



W drodze powrotnej zobaczyliśmy jeszcze chwalony przez wędkarzy zbiornik retencyjny na Narwi o nazwie Jezioro Siemianowskie. Duże, rybne, bezludne, raj dla amatorów wędk, choć podobno ryby mają tam swoje humory i raz biorą, a raz nie. Blisko stąd do granicy z Białorusią. Ciekawostką jest biegnąca przez jezioro linia kolejowa Hajnówka-Wołkowyśk.

Druga krótka podróż sentymentalna

13-16 czerwca 2018 r.

Sudety i nie tylko

Samochodowe podróże krajoznawcze czterodniowe są chyba lepsze niż trzydniowe. Ta również jak i poprzednia była sentymentalna, bo ponad pół wieku temu często bywałem w tym skrawku Polski. I na rajdach studenckich, i z rodziną na popularnych wówczas wczasach FWP. Chyba bym się ponownie nie wybrał, ale kupiłem sobie w internecie audiobooka Filipa Springera *Miedzianka. Historia znikania*. Reportaż ten zrobił na mnie tak duże wrażenie, że postanowiłem przeżyć go jeszcze raz, ale na miejscu.

Udało się to po kilku miesiącach. Przygotowałem krótką, sentymentalną wyprawę objazdową w południowo-zachodni kąt Polski. W planie była oczywiście Miedzianka, ale też Karpacz, Szklarska Poręba, Świeradów, Sami swoi, Zamek Czocho, a nawet Świetosłów, Zielona Góra i największy Jezus Chrystus na świecie.

Miedzianka

Dzięki nowym autostradom podróż z Mazowsza do Miedzianki to niecałe 5 godzin. W tym zakopanym spychaczami w latach 70-tych ubiegłego wieku miasteczku jest zaledwie kilka domów-ostańców i tylko jeden nowy.

To Browar Miedzianka, gdzie są znakomite piwa i nie gorszy od nich niewielki i niedrogi(!), ale przytulny i gustowny hotelik. Tu właśnie, od Cycucha Janowickiego, zaczęliśmy przygodę z niesamowitą historią opisaną przez Springera.

Właściciele browaru, mający jeszcze inne niemałe biznesy, jak np. hurtownię tworzyw sztucznych we Wroc-



Browar
Miedzi
i jego twórcy –
Ewa i Jarosław.
(Fot. Browar
Miedzi)

Rynek niegdyś
i teraz.
(fot. dolny-
slask.org.pl oraz
Wyd. Czarne i
Filip Springer)

ławiu, na milionerów się nie snobują, są skromni i sympatyczni. Browar wybudowali dlatego, że chcieli tu pomieszkować, może również zarabiać, ale przede wszystkim dlatego, że znaleźli tu piękny widok.

Powodem mojego przyjazdu nie był jednak browar, ale wielowiekowa historia Miedzi i to, że to miasteczko **zostało zasypane ziemią**. Trzeba było po prostu tej ziemi „dotknąć”.

W Miedziance jest jeszcze kościół katolicki i kilka domów. Nie napiszę nic więcej. Trzeba samemu zanurzyć się w tym temacie. Warto przeczytać stale wznowianą



książkę Filipa Springera, lub jego artykuł w Polityce
Dlaczego Miedzianka musiała zniknąć?



Karpacz, Szklarska Poręba i Świeradów-Zdrój

To pierwsze powojenne wczasowiska w Polsce. Głównie dlatego pierwsze, bo cały region jeleniogórski ocalał się w całości. Działań wojennych nie było tu wcale, armie przeszły bokiem. Po wojnie większość ludności niemieckiej została wywieziona na zachód.

Pod Karkonoszami bywałem wielokrotnie. Znam dobrze te okolice, kilkakrotnie byłem też na Szrenicy i Śnieżce. Teraz to zupełnie inny świat. W Karpaczu i Bierutowicach (nazwanych obecnie Karpaczem Górnym) dużo willi z pokojami na wynajem, barów i hoteli. Miasto przytłacza luksusowy hotel sieci Gołębiewski. Jest w nim 880 pokoi i apartamentów, wiele sal konferencyjnych oraz restauracji, a także park wodny.

Schronisko jest, nawet duże, ale gór nie widać. Brakuje tylko portu żeglarskiego, ale podobno go zrobią. W istocie żaden to problem – zalać sąsiednią kotlinkę, a przy jachtach motorowych postawić górskie schronisko!

Miedzianka.
Stary browar i
była gospoda
*Pod czarnym
orłem.*
W Miedziance
jest jeszcze
kościół katolicki
i kilka domów

Niewielki
przytulny
hotelik górski.
*(fot. Hotel
Gołębiewski)*



Szklarska Poręba nie zmieniła się prawie wcale. Jedyną nowością oprócz tłoku, jest innowacyjny pomysł umieszczenia głównej stacji benzynowej tyłem do głównej arterii przelotowej i bez wjazdu. To robi wrażenie.



Stacja
benzynowa
w Szklarskiej
Porębie.
W tej budce
jest wszystko,
Cafe i WC

Świeradów Zdrój jest taki jak był, senny i pełen kuracjuszy odpoczywających w parku zdrojowym po parkiecie i nocnych zabiegach. W drodze zatrzymałem się na Zakręcie Śmierci. Nowy asfalt i poprawione mury oporowe. Miło – pierwszy raz w życiu byłem tu 65 lat temu, będąc dzieckiem na kolonii szkolnej.

Zamek Czocha i dziura w Ziemi. Dwie granice

Kargul
z Pawlakiem
w Lubomierzu
(fotos),
muzeum
dzisiejsze.
Obok zapora
na Kwisie

Nie wypada na tej trasie nie wpaść do Lubomierza. To małe miasteczko było plenerem wielu polskich filmów, również legendarnych trzech komedii *Sami swoi* – *Nie ma mocnych* – *Kochaj albo rzuć* w reżyserii Sylwestra Chęcińskiego, według scenariusza Andrzeja Mularczyka (cenię go bardzo jako pisarza), z muzyką Wojciecha Kilara i urzekającym aktorstwem Wacława Kowalskiego (Pawlaka) i Władysława Hańczy (Kargula). Zwłaszcza pierwszy z serii, *Sami swoi*, uważany jest przez polskich widzów za najlepszy film XX stulecia. Zwykła publicz-



ność często niżej ceni filmy uznawane za wybitne przez krytyków i profesjonalistów.

Samo muzeum jest skromne i bardzo proste, ale zobaczyć warto, ze względu na szacunek dla twórców wspomnianych trzech komedii. Po drodze do Zamku Czocha można przejść się po zaporze wodnej na Kwisie, w Jasnej. Zapora ta jest najstarszą zaporą wodną w Polsce. Ma wysokość 36 m i szerokość w koronie 8 m. Budowano ją 4 lata. Zużyto 20 tys. m³ piasku, 150 tys. worków cementu, i 460 ton stali. Powstałe Jezioro Leśniańskie ma długość 7 km i szerokość nawet 1 km. Towarzysząca zaporze elektrownia wodna to zespół 6 turbin Francisa o łącznej mocy 2,64 MW.

Zamek Czocha,
widok od frontu
i z lotu ptaka.
Mury obronne
od strony
północnej



Zamek Czocha powstał jako warownia na pograniczu śląsko-łużyckim w latach 1241–1247, z rozkazu króla czeskiego. W 1253 roku zamek ten został przekazany biskupowi miśnieńskiemu (Miśnia i Łużyce były wówczas częścią korony czeskiej). Potem miał wielu właścicieli. Na początku XV wieku był bezskutecznie oblegany przez husytów. W 1909 roku został kupiony, a po trzech latach przebudowany przez drezdeńskiego producenta cygar Ernsta Gütschowa. Starano się mu nadać wygląd zachowany na rycinie z 1703 roku. Gütschow mieszkał w zamku aż do marca 1945 roku.

Po II wojnie światowej opuszczony zamek był wielokrotnie okradany z mebli i wyposażenia. Na początku lat 50-tych na krótko zasiedlono go uchodźcami z Grecji, którzy w sali rycerskiej trzymali zwierzęta gospodarskie. W 1952 roku zamek poddano renowacji i wykorzystano na wojskowy dom wczasowy.

Był to obiekt utajniony i nie występował na mapach. W 1996 roku stał się udostępnionym publicznie hotelem Agencji Mienia Wojskowego. Zamek Czocha wart jest odwiedzin i noclegu. Należy koniecznie zarezerwować pokój z widokiem na zalew Kwisy. Ciekawy jest też spacer naokoło zabytku.

Od Zamku Czocha już tylko krok do Bogatyni, zwłaszcza jeśli się jedzie przez czeski Frydlant. W tym miasteczku też jest zamek, ale z braku czasu zatrzymaliśmy się tylko w lokalnym dyskoncie by kupić legendarne Lentilki i Tyćinkę Rumbę. Były niestety tylko Lentilki.

Za Bogatynią szukam wielkiej dziury w ziemi, czyli wyrobiska kopalni węgla brunatnego Turoszów. Nareszcie jest, ale jakoś takie płytkie. Robi wrażenie raczej wielką powierzchnią, a nie głębokością.

Czas było jechać dalej, na północ. Droga wzdłuż zachodniego brzegu turoszowskiego worka okazała się jednak nieprzejezdna. Trzeba było podróżować przez Niemcy, czyli przez Sieniawkę i Görlitz.

Świętoszów, Zielona Góra i największy Jezus

W planie podróży był Świętoszów, siedziba 10-tej Brygady Kawalerii Pancernej im. gen. Stanisława Maczka, wyzwoliciela Bremy. Generał do dziś jest pamiętany tam, w Holandii. W Polsce nie za bardzo.

Chciałem tu w okolicy przede wszystkim zobaczyć czarnoskórych żołnierzy naszego aktualnego sojusznika. Niestety. Czy to z powodu remontu, czy też tajemnicy wojskowej, droga tuż przed Świętoszowem była zamknięta. Trudno. Zgodnie z planem jedziemy do Zielonej Góry.

Hotel w samym centrum daje możliwość zwiedzenia tego miasta. Po pierwsze, nigdzie nie widziałem tam góry, a i z zielenią było trudno. Zobaczyłem jednak wiele: Starówkę, Teatr Lubuski, Filharmonię. Wszystko to było w zasięgu spaceru, bo miasto jest nie za duże.

Trafiliśmy natomiast na dobry obiad. Niestety, tanio nie było. Ale wszystko to, czego nam wcześniej zabrakło: czyli obiadu w Czechach (z braku czasu) i amerykańskich żołnierzy w ich wielkich, szalejących maszynach (z powodu remontu drogi) znaleźliśmy w Zielonej Górze



i w drodze z tego miasta do najwyższej figury Chrystusa na świecie, która stoi w Świebodzinie, *vis-a-vis* równie wielkiego centrum handlowego.

I to był już koniec atrakcji czterodniowej wyprawy.

Restauracja
U Szwejka
w Zielonej
Górze.
Widok na ulicę
i knedliki.
Podobno
najwyższa figura
Chrystusa na
świecie z
supermarketem
naprzeciwko

Trzecia krótka podróż sentymentalna

6-8 lipca 2018 r.

Gdańsk i Gdynia i morze

Pierwszy raz w życiu zobaczyłem Gdańsk w 1958 roku, dzięki akcji Autostop tygodnika Dookoła Świata, zorganizowanej z inicjatywy grupy czytelników pisma. Akcja ta polegała na formalnym uporządkowaniu prawnym znanej od zawsze metody wędrowania na tzw. „łebka”, polegającej na zatrzymywaniu pojazdów (nie tylko samochodów, głównie wtedy ciężarowych, ale także innych, czasem nawet pojazdów konnych).

Po zarejestrowaniu się i zakupieniu książeczki (za cenę 20 zł, równą wtedy w przybliżeniu 10-ciu bochenkom chleba), można już było wychodzić na drogę i wędrować po kraju zgodnie z prawem, zatrzymując tą właśnie książeczką, a ściśle jej tylną okładką, rzadko wtedy przejeżdżające pojazdy.

Cena tej ważnej przez rok kalendarzowy książeczki obejmowała koszt jej druku, składkę roczną ubezpieczenia NWiOC oraz niewielkie koszty administracyjne biura akcji. Książeczka zawierała odrywane kupony na łącznie 1000 kilometrów jazdy w odcinkach 20, 50 i 100 km, wręczane kierowcom przy opuszczaniu pojazdu. Jedni brali, inni nie, mówiąc, że prowadząc samotnie nie mają po prostu z kimś pogadać. Byliśmy przecież dla nich młodymi ludźmi z większych miast, których na co dzień nie widywali. Niektórzy kierowcy byli „hurtownikami” – brali „na pakę” na ogół bez plandeki nawet 80 osób.

Bywało różnie. Jechałem kiedyś na skrzyni ciężarówką razem ze świniami, brodząc w gnoju, a te bestie ślizgały się tam i z powrotem przy każdym hamowaniu lub przyspieszaniu pojazdu.



Autostop to było pierwsze po wojnie wielkie BUM! polskiej turystyki młodzieżowej. Wtedy jeszcze nie było wolno wyjeżdżać poza granice swojego powiatu bez zgody władz. Książeczka Autostop zwalniała z takiego ograniczenia, bo rejestrowano nas po jej kupnie w kartotekach, co było formalną zgodą na pętanie się po kraju. Ja oczywiście zakupiłem taką książeczkę chociaż brakowało mi trochę do ukończenia 16-tu lat, a był to wymóg podstawowy. Na szczęście w biurze Autostopu sprawdzano tylko rocznik.

Rodzice udzielili zgody na wyjazd, również formalnej. Dali mi kieszonkowe 300 zł (mniej więcej warte tyle co dziś) licząc, że po dwóch-trzech dniach wrócę z braku środków. 1 lipca 1958 roku dojechałem więc tramwajem na Żerań i wyszedłem na drogę gdańską (nie było jeszcze wtedy drogi przez Czosnów). Pierwsza ciężarówka zatrzymała się już po 15 minutach, ale jechała tylko do Płocka. Stamtąd, po kolejnych wsiadkach i wysiadkach dotarłem już po ciemku do Oruni na przedmieściach Gdańska.

W każdej książeczce Autostopu był spis schronisk i campingów PTTK (towarzystwo to było współorganizatorem akcji Autostop). W Trójmieście był wówczas tylko jeden, w Kamiennym Potoku (dzielnica Sopotu), z dostępnymi noclegami w namiotach obozowych, chyba 20-osobowych. Dotarłem tam około 24-tej, głodny i zmęczony, ale dumny. W plecaku miałem tylko jedną konserwę rybną, słynne *Byczki w sosie pomidorowym*, otrzymaną jeszcze w domu „na czarną godzinę”. Chleb niestety zjadłem już po drodze. Siedziałem więc w na-

Książeczka Autostop. Po prawej jedni z pierwszych „stopowiczów”: właściciel tej książeczki Bogusław Laitl oraz Tadeusz Sowa. Oni zaczęli jeszcze rok wcześniej, bez książeczki Autostopu. (fot. L. Fogiel, 1957)

miocie wśród chrapania i jadłem samą rybę bez zagryzania, popijając wodą z publicznego kranu. Rano obudziłem się szczęśliwy jak nigdy. To był mój pierwszy poważny samodzielny wyjazd z domu, i... pierwszy pobyt w Gdańsku.

Potem bywałem w Gdańsku wielokrotnie – zarówno turystycznie jak i służbowo, na Politechnice. Tam też zaczęła się moja największa podróż życia – rodzinne przepłynięcie Europy w poprzek, *hausbootem* czyli jachtem mieszkalnym Taurus II budowanym w Gdańsku przez 2 lata. Opis tej właśnie podróży jest pierwszym rozdziałem niniejszej książki.



Taurus II we Francji (rok 2000). Po prawej jego macierzysta marina w Gdańsku (rok 2018) już bez naszej jednostki

Celem opisywanego nizej wyjazdu, prócz względów rodzinnych, było przypomnienie sobie Gdańska i bierny udział w XXII Zlocie Żaglowców Baltic Sail 2018. Planowałem także spędzenie nieco czasu w Gdyni, pamiętnej z moich pływów.

Przygoda żeglarska była bardzo ekscytująca. Na szczęście wiało słabo i przechyły były akceptowalne. Nigdy nie pływałem tak dużym żaglowcem. Mercedes jest turystycznym brygiem od 2005 r. Został zwodowany wcześniej, w 1958 r. w Holandii, jako statek rybacki do połowów atlantyckich. Jak nas zapewniano, linie kadłuba zapewniają mu znakomitą dzielność morską, a rybacka przeszłość żaglowca nie przeszkodziła w dość surowej, ale eleganckiej i wzorniczo skoordynowanej zabudowie wewnątrz. Rejon żeglugi to przede wszystkim Morze Śródziemne, wybrzeża Atlantyku oraz Morze Północne. Ale też, jak widać, Bałtyk.



Gdynia niestety jakby podupadła. Poza budowanym nowym luksusowym portem na dawnym nabrzeżu Dalmoru *vis a vis* polskiego niszczyciela w stanie spoczynku *ORP Błyskawica* oraz Białej Fregaty *Dar Pomorza* powstaje luksusowe osiedle z portami i nabrzeżami jachtowymi. Jedynym nowym akcentem Skweru Kościuszki było dla mnie największe w Polsce koło widokowe, z którego, z 60-tego metra wysokości, widoki były wspaniałe.

Baltic Sail z lotu ptaka. Bryg Mercedes na Zatoce, a my na nim. Na pokładzie. Port w Gdańsku

Gdynia z diabelskiego koła



Czwarta krótka podróż sentymentalna

22-25 sierpnia 2018 r.
Kotlina Kłodzka

Po drugiej krótkiej podróży sentymentalnej w czerwcu 2018 roku na południowo-zachodnim krańcu Polski, czyli Karkonoszach w Sudetach, Nizinie Śląsko-Łużyckiej oraz ziemi Zielonogórskiej brakowało mi ponownej wizyty w górach okalających Kotlinę Kłodzką.

Te stare góry, powstałe jeszcze w karbonie (ale już po Świętokrzyskich), tworzą prostokątny kawałek Polski filuternie przekrzywiony w stosunku do równoleżników i południków. Są one źródłem wielu moich wspomnień z tej właśnie, niewielkiej Kotliny.



*Trzy piętra
Kotliny:
płaskowyż
Szczeliniec,
Stare Kłodzko
i kopalnia złota
w Żłotym Stoku*

To region bogaty w atrakcje turystyczne, pokryty zarówno gęstą siecią drogową, jak i siecią pieszych szlaków. Jest tu park narodowy Gór Stołowych, pruskie twierdze w Kłodzku i Srebrnej Górze, Kaplica Czaszek w Czeramie, bazylika Wambierzycka, Jaskinia Niedźwiedzia, stara kopalnia uranu w Kletnie, a także kopalnia – muzeum złota w Żłotym Stoku. Jest tu także wodospad Wilczki w Mię-

dzygórzu oraz liczne uzdrowiska o wieloletniej tradycji, powstałe wokół źródeł wód mineralnych – głównie szczaw – w Kudowie, Polanicy, Dusznikach, Długopolu, Łądku i wielu innych.

Jest to kraj nadal słabo zaludniony, w którym tylko cztery miejscowości (Kłodzko, Nowa Ruda, Bystrzyca Kłodzka i Kudowa) liczą więcej niż 10 tys. mieszkańców, a substancja zabudowy jest w większości stara i zniszczona. Teren ten nie miał bowiem nawet po wojnie kilku chwil na rozwój. Najpierw nikt się tu nie osiedlał i nie inwestował, bo przez ponad 20 lat po wojnie nie było traktatu pokojowego z Niemcami Zachodnimi. Potem z trudem rozwijały się Wrocław i Sudety Zachodnie. A potem wszystko się uspokoiło. Przyszło nowe. Inwestycje lokowano głównie w centrach gospodarczych.

Srebrna Góra i trasy zwiedzania w Kotlinie Kłodzkiej. Hotel Srebrna Góra z daleka i z bliska, na zboczu, przy drodze wiodącej do twierdzy na szczycie góry.



Dobrym punktem startowym odwiedzin Kotliny jest Srebrna Góra, małe miasteczko z hotelem na stromym stoku tej właśnie góry, zapewniającym widok prawie po Wrocław. Stąd można wygodnie dojechać do Skalnego Miasta Aadršpach. To najciekawszy fragment gór z piaszkowca w Czechach. Dwa polskie fragmenty tych gór to

Niżej: stara rycina i panorama Kotliny. Rynek w Srebrnej Górze

małutkie obszarowo Błędne Skały i wielki trudno dostępny płaskowyż Szczeliniec, przypominający obraz *Zaginionego Świata* sir Arthura Conan Doyle'a. Oba polskie fragmenty Gór Stołowych można odwiedzić jedynie pieszo (parkingi daleko i niestrzeżone) będąc młodym i sprawnym. *Adršpašské Skalne Mesto* natomiast to łatwo dostępny fragment tych właśnie Gór Stołowych. Oprócz Adrspachu sąsiedzi mają jeszcze tuż obok Teplickie Skały, trudne, rozległe i dzikie, turystycznie podobne do Szczelińca.



Trzy piętra
Kotliny:
płaskowyż
Szczeliniec,
Stare Kłodzko
i kopalnia złota
w Złotym Stoku

Adršpach jest wyjątkowy, bo ten skalisty obszar został w połowie XIX wieku spustoszony pożarem, który wypalił wszystko poza skałami właśnie, a je same tak rozgrzał, że popękały. Roślinność nieśmiało po latach wróciła, ale teren stał się łatwo dostępny. W XIX wieku opleciono go ścieżkami, pomostami i schodkami z poręczami. Dziś mogą tam więc chodzić wszyscy: poczynając od rodzin z dziećmi, przez młodzież szkolną, po staruszków, nawet o ograniczonej sprawności. Oczywiście nie wszędzie – gdzieś trzeba się przeciskać i chodzić po schodkach, ale jednak w pewnym komforcie.

Do Adrspachu najpierw trzeba jednak dojechać, co nie zawsze jest łatwe. Np. 23 sierpnia *Nachodský Deník*

pisał, że od 15 do 19 sierpnia był tak wielki napór turystów z Polski, że czescy policjanci drogowi razem z wolontariuszami ekologicznymi pomagającymi pilnować pastwisk wokół skał nie mogli sobie poradzić z naporem setek samochodów z naszego kraju. My jechaliśmy po długim weekendzie, więc jakoś zaparkowaliśmy.

Skalne Miasto
Adrspach



Samo Skalne Miasto jest tak wielkie, że turyści w nim znikają. Niekiedy tylko spotyka się grupkę, raczej na schodach lub przy najbardziej zdumiewających skałach, które górują nad ludźmi tak jak Olbrzymi z powieści Jonathana Swifta. Nie da się tego opisać, trzeba po prostu zobaczyć samemu. Najbardziej fotogeniczne miejsca to *Gotycka Brama*, *Wspinaczka*, *Przejście szerokie*, *Przejście wąskie*, *Okno czarownika*, *Słonie*, *Kochankowie*, *Pęknięta skała*, *Głowa cukru* i *Starosta ze Starostową*. Niektóre z tych wolno stojących baszt skalnych mają prawie 100 m wysokości.

W drugim dniu zwiedzamy wschodnią część Kotliny. Jest ona zdecydowanie bardziej dzika i pusta. Przejazd przez centrum Kłodzka i Bystrzycy Kłodzkiej zaskakuje degradacją przestrzeni miejskiej. Wszystko stare, poniemieckie i zużyte. Trafiają się nieśmiałe drobne inwestycje, głównie prywatne.

Celem pierwszym jest Międzygórze, we wschodniej otulinie Śnieżnika, drugiej góry Sudetów, o wysokości 1425 m. Tu kiedyś tętniło czasowe życie PRL, podobnie jak w Kudowie, Polanicy, Dusznikach czy Łądku. Dziś jest tu smętnie i pustawo, choć trochę gości i turystów widać.



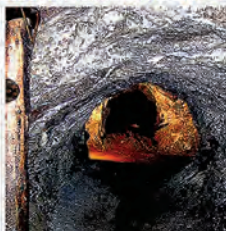
Wodospad
Wilczki kiedyś
i teraz.
Międzygórze

Magnesem dla wielu jest tutejszy wodospad na Wilczce, dopływie Nysy Kłodzkiej, której źródła biją w masywie Śnieżnika. Wilczka w Międzygórzu wciną się w skały tworząc jar o stromych skalnych ścianach, który ma 150 m długości, 10 m szerokości, a jego ściany sięgają 40 m wysokości. Wodospad ten, dawniej nazywany też Wodogrzmotami Żeromskiego, liczy obecnie 22 m w jednej

siklawie. Jest to drugi wodospad w polskich Sudetach po Kamieńczyku (27 m). Przed powodzią 1997 r. wodospad Wilczki był o 5 metrów wyższy i bardziej efektowny niż równy mu wtedy Kamieńczyk, który toczy większe wody, ale spada w trzech kaskadach. Wodospad Wilczki zmałał po powodzi, która wyrzuciła z jego proggu zatrzymany tu niegdyś wielki głaz.

Po Wilczce atrakcji wokół Śnieżnika już nie ma. Na wschodnich stokach tej góry rodzi się jednak nowe życie i to z rozmachem. Rozbudowuje się tu nowe Zakopane, rejon Czarnej Góry. Pracują wielkie spychacze i budowlancy. Powstaje, mówiąc nową polszczyzną – *Czarna Góra Ski Resort*.

Obraz satelitarny tras narciarskich Czarnej Góry i mapa topograficzna okolic. Dolny rząd: pawilon wejściowy do Jaskini Niedźwiedziej,



Pozostałe atrakcje, jak Kletna (stara kopalnia uranu), jej hałda minerałów, Jaskinia Niedźwiedzia (korytarze długości ponad 4,5 km, różnica poziomów 100 m) i prywatne Muzeum Ziemi nie są jakoś bardzo atrakcyjne.

Koniec podróży to Łądek Zdrój, śpiące uzdrowisko oraz Złoty Stok z masowo zwiedzaną kopalnią złota, w której złota już nie ma.

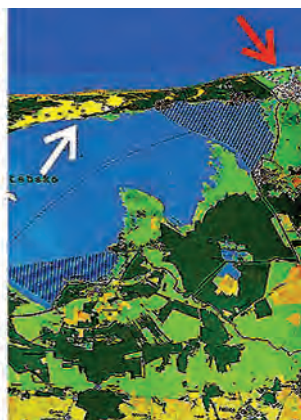
dinozaur i jego jaja w muzeum w Kletnie oraz chodnik tamtejszej kopalni uranu

Piąta krótka podróż sentymentalna

16-18 czerwca 2019 r.

Łeba & Mierzeja

Nie była to od początku podróż sentymentalna, bo w Łebie przedtem nie byłem. Była więc to podróż sensowna, bo nigdy nie miałem okazji zobaczyć naszych słynnych wędrujących wydm. Prawdziwe pustynie odwiedziłem w Omanie, ciekawy więc byłem czy te nasze, to nie jest jakaś ściema.



Kanał portowy
Łeby widziany
z drona oraz
mapka okolic
Łeby

Łeba właściwie nie leży na morzem, a w lesie, co widać poniżej. Z morzem łączy ją kanał portowy, dzieli zaś wspomniany las. Rzeka Łeba ma kształt: trójramienną ośmiornicy (widać to wyraźnie np. na Google Maps), Łbem tej ośmiornicy jest port jachtowy wskazany białą strzałką na lewym zdjęciu. *Vis-a-vis* leży mały port morski, a za lasem, w biegu Łeby płynącej przez miasto – port rybacki i miejski (strzałka czerwona). W porcie jachtowym ulokowano gustowny przyzwoity hotelik z res-



tauracją. Wydmy Łebskie leżą na wąskim pasku ziemi kilka kilometrów na zachód od miasta, między Bałtykiem a jeziorem Łebsko.

Na dwie noce „stanęliśmy” w hoteliku portu jachtowego. Spanie w marinie to bliskie sercu stare przyzwyczajenie z pływania w poprzek Europy. Wodniackie towarzystwo to coś miłego i spokojnego zarazem.

Do miasta pieszo stad prawie kilometr. Miasteczko bardzo prowincjonalne, ożywia się w lipcu i sierpniu. Jest tu wtedy 6-krotnie więcej ludzi, niż mieszkańców.

Port jachtowy
Łeba
z wody i brzegu

Łebskie wydmy
robią wrażenie,
mimo, że
udostępnia
się tylko ich
fragment...



Rano na wydmy. Najpierw trzeba dojechać 5 km do biura Słowińskiego Parku Narodowego. Stamtąd pod same wydmy turystów wożą za niewielką opłatą melexy. Łebskie wydmy robią wrażenie, mimo że udostępnia się ich tylko fragment...

Po wydmach spacer przez miasteczko na plażę. Jest podobnie jak w wielu miejscach nad morzem. Ale tu, z plaży widać jakiś zamek, prawie umoczony w Bałtyku. Jest to dawny pałac letni z 1908 r., po wojnie przez wiele lat dom wczasowy Neptun Funduszu Wczasów Pracowniczych, obecnie prywatny i drogi hotel.



Zamek na plaży
w Łebie.
Od początku
XIX w. opiera
się morzu

Ciekawa jest historia zamku. Wybudowany przez barona Herberta von Massowa w latach 1906-1907 stał się jego wspaniałą rezydencją letnią. W 1911 r. potężny sztorm z północy zniszczył część wydmy. Komisja budowlana nie zezwoliła na dalsze korzystanie z obiektu. Właściciel nie miał natomiast pomysłu na jego uratowanie i sprzedał go za bezcen właścicielowi hotelu z centrum Łeby, Maximilianowi Nitschke, który niezwłocznie zlecił wykonanie betonowej ściany oporowej u podnóża wydmy i odtworzenie wydmy przed obiektem. Wiązało się to z przemieszczeniem dużych ilości piasku.

W 1914 r. kolejny sztorm ponownie zniszczył wydmy. Wszystkie wcześniej wykonane zabezpieczenia zawiodły. Ściana oporowa okazała się za niska i za słaba. Wtedy właściciel zorganizował prawdziwe „pospolite ruszenie” i zwołał do pomocy ludzi z całej okolicy. Licznie zgromadzeni napełniali worki piaskiem, przewozili je na brzeg i rzucali w morze. Nowa ściana oporowa i rzędy pali wbite w dno morskie rzeczywiście sprawiły, że już żaden kolejny sztorm nie zagroził budynkowi.

Front II Wojny Światowej ominął okolice Łeby. Zamek ostał się bez zniszczeń. Nowe władze podjęły decyzję upaństwowienia obiektu i przywrócenia mu funkcji rek-

reacyjnej. Już w latach 50-tych budowla stała się domem czasowym FWP Neptun, który bez remontów funkcjonował prawie do końca wieku. Po roku 1990 zaczął popadać w ruinę.

Nowa Polska, nowe życie łebskiego Zamku

Transformacja ustrojowa zupełnie przeobraziła gospodarkę naszego kraju. Polska została otwarta na Europę i jej inwestorów. Z Wielkiej Brytanii, Niemiec, Francji, Belgii, a zwłaszcza z Holandii przyjeżdżało do nas wielu energicznych, zdolnych ludzi, by u nas budować gospodarkę rynkową. Trafiali do kraju niezbyt nowoczesnego, ale pełnego ludzi życzliwych, zdolnych i pracowitych, a przede wszystkim pełnego pięknych i urokliwych naszych dziewczyn. To one właśnie były dla obcokrajowców odkryciem i kotwicą.



Jednym z pierwszych był Holender Arjan Bakker widoczny na powyższym zdjęciu. Ożenił się z piękną młodą Polką Magdaleną i zamieszkał u nas. Założył niewielką firmę komputerową, a po kilku latach (w 1999 roku) zarejestrował wraz z żoną oraz dwoma młodymi swoimi programistami Tomkiem Dudziakiem i Grzegorzem Brochockim serwis aukcyjny Allegro. Tak, ten właśnie. Nie docenili oni swojego pomysłu i po roku serwis sprzedali, choć już za dziesiątki tysięcy. Teraz serwis ten jest spółką giełdową o wartości ponad 13 mld PLN

Podobnie „zakotwiczyl” w Polsce inny Holender, Ernst Christoph Lehmann Bärenklau. Jesienią 1994 r., wspólnie z macierzystymi holenderskimi firmami wyrobów ziemniaczanych Aviko B.V. i Farm Frites B.V., uruchomił

Twórcy
allegro.pl. Po
prawej twórca
Farm Frites
Poland (fot.
montaż własny
z materiałów
FFP)

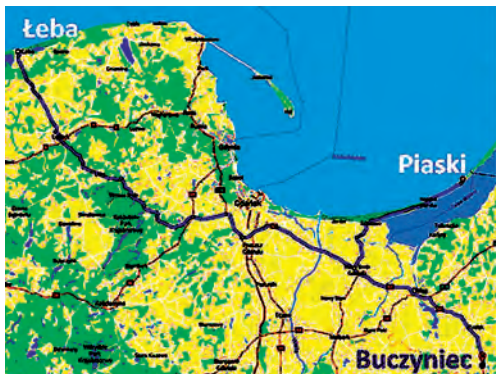
w Łęborku duży zakład produkcji frytek. Okazało się jednak, że nasze znakomite polskie pomorskie ziemniaki nie bardzo nadają się na światowe frytki. Tak to jest, nie wiecie co dobre... Pan Bärenklau kupił więc leżące w pobliżu Łęborka 4000 hektarów poPGRowskich pól i sam produkuje prawdziwe (czytaj: amerykańskie) frytkowe odmiany ziemniaka dla swojej fabryki. Trzeba to cenić, choć osobiście uważam, że smażenie frytek to psucie królewskiego smaku ziemniaka ugotowanego na sypko lub smaku *potato soup*. W tym względzie jestem jednak w mniejszości.

Skąd tu ten temat? Otóż dlatego, że państwo Bärenklau odtworzyli w pięknej postaci wspomniany Zamek Łebski. Jest on teraz luksusowym hotelem wypoczynkowym pani Ewy Bärenklau. Nie jet to jednak historia z happy-endem Mimo że Zamek Neptun jest piękny i zadbane, nie jest obiektem przynoszącym rozsądne zyski. Został wystawiony na sprzedaż. Teraz Polska odpoczywa tanio, głównie w Egipcie, Tunezji lub na Karaibach. Tam zawsze jest pogoda plażowa, a u nas nie.

W drodze powrotnej: Krynica, Piaski, Buczyniec.

Wracając z Łeby przez Łębork i północną część Kaszubskiego Parku Krajobrazowego warto było odwiedzić Krynice Morską. Rozwinęła się i zgęstniała, ale tak naprawdę jest jak była tak jest. Jeszcze krok do Piasków, prawie przy granicy z Rosją. Cisza, pusta plaża i kilkoro ludzi z siateczkami na kijku poszukujących grudek bursz-

Trasa powrotna
i pochylnia
Buczyniec
na Kanale
Elbląskim



tynu. Są tu stale. Nic nowego. Więc wracamy na trasę i jedziemy do Buczyńca zobaczyć wyremontowany na nowo Kanał Elbląski.

Tą drogą wodną przepływałem wielokrotnie: statkiem Żegluga Elbląskiej, mniejszymi łódkami i kilka razy naszym Taurusem II, testując go przed rozpoczęciem wieloletniej podróży rzekami i kanałami Europy.

Kanał ten zbudował na zlecenie Fryderyka Wilhelma IV Georg Jacob Steenke, by połączyć szlakiem żeglownym Prusy Wschodnie z Bałtykiem. Prace rozpoczęto w 1844 roku. W sumie, z odgałęzieniami, liczy 147 km. Jest to, unikalny w skali światowej zespół pięciu pochylni (Buczyniec, Kąty, Oleśnica, Jelenie i Całuny), przez które jednostki pływające przewożone są na specjalnych wózkach napędzanych siłą wody, pokonując różnicę poziomów 99 m. W roku 1978 ten zespół pochylni uznano za zabytek techniki, w 2011 nadano mu rangę pomnika historii. W roku 2007, w plebiscycie Rzeczypospolitej, został uznany jednym z siedmiu cudów Polski.

Niegdyś w Buczyńcu był niewielki bar ze znakomitymi naleśnikami z serem. Dziś stoi jedynie przyczepa campingowa z nuggetsami. Ale jest za to zbudowane od podstaw Muzeum Kanału.

Post scriptum o Łebie... i małe podziękowanie



Po przyjeździe do Łeby okazało się, że nie zabrałem ze sobą jednego z leków regulujących ciśnienie, który muszę codziennie łykać. Poszedłem wprost do apteki, w której poinformowano mnie grzecznie, że bez rece-

Główna ulica
w Łebie z
pamiętą
apteka

pty ani rusz. Ruszam więc do przychodni. Tam kolejka. Pojechaliśmy zatem najpierw na wydmy, a koło południa z powrotem do lekarza. Było pusto. Starszy, pogodny i sympatyczny lekarz, dr Greczko, zapisał w dokumentach informacje o moim stanie zdrowia oraz stale branych lekach i napisał receptę. Poplotkowaliśmy nieco. Okazało się, że jesteśmy równolatkami, a na dodatek jednocześnie studiowaliśmy niegdyś w Warszawie – on na Akademii Medycznej, a ja obok, na Politechnice.

Z receptą poszedłem do łębskiej apteki. Tam okazało się, że na receptce w nazwie leku jest literówka. Farmaceutka niezwłocznie przekazała sprawę kierowniczce, która stwierdziła: *proszę wydać lek Panu, poprawimy to później w porozumieniu z lekarzem...*

Ot, Łeba jest łębska!

Krótką podróż tam gdzie nie byłem

*1-3 sierpnia 2019 r.
Żar, Żywiec, Wadowice, Ojców*

Wisła jest jedynym miastem w Polsce, w którym większość mieszkańców, około 60%, jest wyznania luterańskiego. Najbardziej znani to Adam Małysz i Jerzy Pilch. W mieście tym jest aż pięć parafii tego kościoła.

Powodem naszej podróży nie było jednak zwiedzanie Wisły – ani miasta, ani rzeki. Chcieliśmy spotkać się z naszymi dziećmi, które z Gdańska wybrały się na weekend w góry, w okolice Szczyrku. Ja także chciałem zobaczyć miejsce, które od czasów licealnych, a więc od ponad sześciu dekad było dla mnie tajemnicze i nieosiągalne. To góra Żar, na której, jeszcze jako uczeń podstawówki, uczył się latać na szybowcach mój nieżyjący już kolega licealny. Chciałem też naocznie sprawdzić dlaczego jedne góry podzielono na dwie części i nazwano inaczej – Beskid Śląski i Beskid Żywiecki. Dodatkową ciekawostką był zarezerwowany na dwie noce hotel, czyli Zameczek Dolny, udostępniona obecnie wszystkim część rezydencji Prezydenta RP w Wiśle. Rezydencja ta została zbudowana u źródeł Wisły w latach 1929-1930 dla Ignacego Mościckiego i jego następców.

Historia tego miejsca jest interesująca. W 1907 r. arcyksiążę Fryderyk Habsburg wystawił tu myśliwski modrzewiowy tzw. *zameczek* wykorzystywany podczas polowań. W 1927 r. budowla ta spłonęła, a w jej miejscu, w 1930 roku ze środków społeczności śląskiej wybudowano nowoczesną rezydencję Prezydentów Rzeczypospolitej według projektu prof. Adolfa Szyszko-Bohusza, z wnętrzami Andrzeja Pronaszko. Dziś, po pracach konserwatorskich przeprowadzonych w latach 2004-2008,

obiekt ten nadal prezentuje się znakomicie. W jego skład wchodzi Zamek Górny z drewnianą kaplicą oraz Zamek Dolny wraz z Gajówką – te ostatnie to ogólnodostępny dziś hotel i restauracja.



Zameczek Dolny
Rezydencji
Prezydenta RP
w Wiśle oraz
widoki z jego
tarasu na
jezioro, które
tworzy Biała
Czarna Wisetka.
Z tego jeziora
wyptywa już
jedna rzeka,
nasza Wisła

Wydawało się, że dojazd będzie prosty, GPS nie miał wątpliwości. W rzeczywistości utknęliśmy, bo droga była w remoncie, zupełnie rozkopana. Co więcej GPS zgłupiał i nie wskazał innej trasy. Uratował nas jadący z nami syn, który mając mapę turystyczną znalazł wąską kamienistą drogę zboczem Baraniej Góry. Droga ta była mniej więcej pozioma, ale z lewej mieliśmy strome zbocze w dół, po prawej w górę. Za mną jechał jeszcze drugi samochód co okazało się korzystne, bowiem gdy nagle z przeciwka pojawił się trzeci, to on właśnie musiał się cofnąć do jakiejś poprzecznej stromej ścieżki by nas przepuścić. Przy okazji prawie zdobyliśmy samochodem Baranią Górę.

Droga z Wisły Malinki do Szczyrku robi też wrażenie, choć, po strasliwym poprzednim przejeździe zbieżną Baraniej Góry, nie tak duże. Ponadto oglądanie wczasowisk głównie narciarskich latem jest smutne i lepiej jest już wtedy chodzić wyżej po górach. Do podnóża góry Żar dojechaliśmy szybko. Gorzej wjeżdżało się nią, do dolnej stacji kolejki linowo-szynowej zlokalizowanej w pobliżu budynku szkoły szybowcowej.

Historia tej szkoły jest fascynująca. Powstała w 1935 r. O jej rozwoju zdecydowały silne tu wstępujące prądy powietrzne

Górska Szkoła Szybowcowa „Żar”. Mijanka kolejki, atrakcje i górna stacja kolejki.

Widok z góry Żar na Jezioro Żywieckie



Szkoła przeżyła zniszczenia wojenne i okres stalinowski. W połowie lat 50-tych ubiegłego wieku szkołę odtworzono pod zarządem Aeroklubu PRL i uruchomiono szeroki program szkolenia lotniczego młodzieży. Tu zaczynał szybowcową przygodę mój szkolny kolega Piotrek, który jeszcze przed ukończeniem liceum zdążył zdobyć jakieś Szybowcowe Diamenty.

Budynek stacji
meteo
z międzywojnia,
zbiornik górny
elektrowni
Porąbka-Żar
oraz budynek
górnej stacji
kolejki linowo-
szynowej

W latach 70-tych wybudowano we wnętrzu góry Żar oraz 50 m pod powierzchnią leżącego u jej stóp Jeziora Międzybrodzkiego pierwszą w Polsce hydroelektrownię szczytowo-pompową. Jej górny zbiornik „wydłubano” w szczycie góry pozostawiając tu jedynie budynek stacji meteorologicznej oraz jeden stok dawnego lotniska, obecnie używany głównie przez paralotniarzy.



Paralotniarze
na tle nasypu
szczytowego
zbiornika
elektrowni.
Widok na
Jezioro
Czanieckie

W drodze powrotnej wpadliśmy na żywca do Żywca. To już ziemia krakowska, nie śląska. Pięknie odrestaurowany rynek otoczony podupadłym miasteczkiem. Dalej Koniaków i Istebna oraz przełęcz graniczna z Czechami, gdzie w nocy 25/26 sierpnia 1939 roku padły pierwsze strzały II Wojny Światowej (tzw. incydent jabłonkowski). W Koniakowie zjedliśmy obiad w gospodzie z panora-

micznym, prawie 360-stopniowym widokiem na góry. Ani tu, ani w Istebnej koronek nie było. W ogóle nic ciekawego nie było.



Po koszmarze jakim był długi przejazd w litym kor-
ku niby autostradową 1-ką, z ratunkowym objazdem
przez wsie, postanowiliśmy wracać na Mazowsze 7-ką,
omijając Kraków. Naturalne więc było odwiedzenie Oj-
cowa i Maczugi Herkulesa.

Starówka i
Rynek w Żywcu.
Kościół
w Wadowicach



Byłem tam – nie do wiary – prawie dokładnie 50 lat
wcześniej. 21 lipca 1969 roku wędrując Szlakiem Orlich
Gniazd. W środku nocy, w namiocie rozbitym na pola-

Ojców,
restauracja

nie *vis à vis* Maczugi w punkcie o współrzędnych 50.242862, 19.783009 i słuchałem na małym radiu transmisji z Księżyca. Usłyszałem wtedy to słynne *that's one small step for man, one giant leap for mankind* Neila Armstronga. W tym samym miejscu, obecnie parkingu, zatrzymaliśmy się teraz mając ten sam widok na Maczugę i Zamek na Pieskowej Skale.

Czy teraz już wiem, dlaczego są dwa Beskidy – Śląski i Żywiecki? Nie wiem, ale sądzę, że wynika to nie z geografii, a historii. Różnicy kultur, wiary i języka. Góry bowiem są takie same.

Postscriptum. A miał być finał...

9-20 kwietnia 2020 r.
Hongkong, Taipei, Yokohama, Tokyo

Miała być podróż, mocny akcent na zakończenie mojego podróżowania. Ostatni rejs, i to na antypody, tam gdzie nigdy nie byliśmy: Hongkong, Tajwan i Japonia. Ostatnie kraje półkuli północnej, w których nie postawiliśmy stopy. Na dodatek miał to być ukłon pamięci idola młodości – Fileasa Fogg. Jules Verne go wymyślił, ale bohaterem był moim...



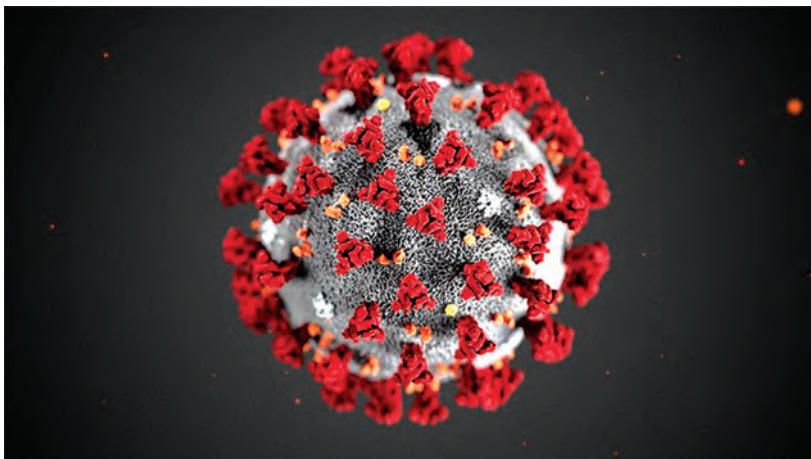
04/11 Hong Kong
04/12 Day at Sea
04/13 Keelung, Taiwan
(07:03 AM - 07:01 PM)
04/14 Day at Sea
04/15 Day at Sea
04/16 Kobe, Japan
(09:03 AM - 07:03 PM)
04/17 Day at Sea
04/18 Yokohama, Japan
(07:03 AM - 11:59 PM)
04/19 Yokohama, Japan
(Arrive 12:01 AM)



Flight/Date	From - To	Departure	Arrival
LO LO461/09APR20	Warsaw (Okęcie) - København (Kastrup)	17:25	18:55
SK SK965/09APR20-10APR20	København (Kastrup) - Hong Kong (International)	21:00	13:45
SK SK984/20APR20	Tokyo (Narita) - København (Kastrup)	11:10	15:30
SK SK2751/20APR20	København (Kastrup) - Warsaw (Okęcie)	16:50	18:10

Rejs z Hongkongu do Yokohamy został zarezerwowany przelewem zaliczki w dniu 6 stycznia 2019 roku. Pół roku później zarezerwowaliśmy przelot z Warszawy do Hongkongu i powrót z Tokio do Warszawy.

W końcu stycznia 2020 roku pojawiły się pierwsze informacje o koronawirusie w Wuhan. Wkrótce rozwinęła się światowa epidemia. Odwołano więc wiele publicznych aktywności, w tym rejsy wycieczkowe. Co więcej, problemy koronawirusowe trwają i nie wiadomo kiedy się skończą. Nawet wtedy jednak nie będzie wiadomo, czy skończyły się ostatecznie, zwłaszcza tam, na Dalekim Wschodzie.



Ze względu na globalny charakter epidemii wszystkie wpłacone na tę podróż środki zostały nam zwrócone. Podróży finałowej zatem nie będzie. Przez tę małą kolorową kruszynkę. Nie mam jej tego za złe. Taki jest świat i takim pozostanie. Bo jak nie taka kruszynka, to będzie coś innego. Trzeba wedrować i podziwiać świat w sieci. Innej rady nie ma. I taniej.

Falbogi Wielkie, w lipcu 2020 r.

